

Autor: Paweł Świrek

20.11.2010.



Charlestown to niewielkie portowe miasto położone w Kornwalii. To także tytuł najnowszej dzieła **Guya Manninga**, którego postać powinna być dobrze znana słuchaczom MLWZ, chociażby z zespołu The Tangent czy też szeregu jego solowych płyt. Najnowsza i zarazem jedenasta solowa płyta Guya Manninga to niewiele ponad godzina wspaniałej muzyki.

Prace nad tym albumem trwały bardzo długo, bo prawie rok. Od marcowych informacji znacząco zmieniła się nie tyle lista utworów, co kolejność kompozycji na płycie. „Charlestown” rozpoczyna się od bardzo długiej, bo trwającej ponad 35 minut tytułowej suity. W sumie jest to piękna kompozycja, lecz słuchając jej ma się wrażenie, iż jest to kilka krótszych połączonych ze sobą utworów. Coś takiego, jak suita na pierwszej solowej płycie Mike’a Rutherforda. Mimo aż tak długiego czasu

trwania utwór ten nie zanudza. Pierwotnie kompozycja ta miała się znaleźć pod koniec płyty, lecz suita oraz finał zostały rozdzielone w sposób spinający klamrą całe wydawnictwo, coś na wzór „Selling England By The Pound” grupy Genesis. Powiem więcej: zamykający płytę „Finale” to tytułowa suita „w pigułce”, lecz w wersji instrumentalnej.

Pozostałe kompozycje to dobry art-rock z dużą ilością fletu, saksofonu, skrzypiec i brzmień przypominających mellotron. Przypomina się Jethro Tull oraz King Crimson z początkowego okresu działalności. Wszystkie te krótsze utwory („Caliban And Ariel”, „The Man In The Mirror”, „Clocks” i „T.I.C.”) są równie udane co i suita, przez co wszystkie kompozycje tworzą coś w rodzaju jednolitej muzycznej całości. Muzyka na tym krążku tak obfituje w autentyczne piękno, że właściwie nie ma w niej za wielu słabych punktów, chyba że lekko nosowy głos wokalisty. Ale i do niego można się przyzwyczaić. Zresztą słuchacze, którzy znają poprzednie albumy Manninga wiedzą czego się spodziewać po głosie tego artysty i znają wszystkie jego ograniczenia. Nie wpływają one jednak na zdecydowanie pozytywną ocenę płyty „Charlestown”.

Może nie będzie to płyta roku, ale moim zdaniem (wszak zbliża się czas muzycznych podsumowań) powinna się znaleźć jak nie w pierwszej, to na pewno co najmniej w drugiej dziesiątce najlepszych albumów 2010 roku.